



Mirosław Derecki

TROPEM LUDZI MAJORA HUBALA:
PODZWONNE DLA KSIĘDZA MUCHY

Biedny ksiądz Mucha! I historia i literatura obeszyły się z nim okrutnie. Wystarczył moment słabości, chwila nieuwagi, aby w dziejach polskiego ruchu oporu zapisał się jako jedna z najbardziej tragikomicznych postaci. Podczas szarży na nieprzyjaciela - zastrzelić niechcący własnego konia! Co za rozkosz dla gawędziarza, jaki temat dla literata... Gdyby zaliczał się do zwykłej żołnierskiej społeczności, może tylko kawalerzyści nie daliby mu dyspensy. Ale nieszczęściem Muchy był fakt, że mundur żołnierza nosił na zmianę z czarnym strojem „katabasa”.

Na domiar złego było mu sądzone rozchorować się z trudów wojennych, dostać szoku nerwowego. W takim stanie nie nadawał się do dalszej walki, musiał rozstać się z Oddziałem Wydzielonym. Gdy odszedł, zaczęła wokół niego narastać legenda. Ale nie taka, o jakiej marzą kandydaci na bohaterów.

Po latach doskonały pisarz i reporter, zafascynowany postacią księdza Muchy, każe mu stanąć w jednym szeregu z bohaterami opowieści pena Zagłoby w chreptiowskiej strażnicy, zaś najbardziej tragiczny moment życia księdza przedstawił w sposób niezwykle sugestywny i ... bezpardonowy: „okazało się, że przesilił ducha, który starał się nieść w ciele zbyt kruchym i trwożliwym. Tuląc się w kącie, zgięty w pół, rzuca przerażonym wzrokiem: -C-i-i-c-h-o! ... Idą już ... Idą!.. Biedny filipin, miotany sprzecznym uczuciem uwielbienia dla tych krwawych centaurów z rzeniem końskim miotających granaty i równocześnie serdecznej troski, że czeki ich smoła i ogień wieczysty. Biedny, bohaterski, z duszą dziecka gotową do uwielbienia, z duszą Świętego otwartą na dobro, nic nie wiedzący o świecie i sprawach jego, praktykujący ten świat od razu i bez przygotowania w atmosferze mordy, tłustego słowa żołnierskiego, kart, wódki i nieustannego łamania piątego przykazania, a wraz z nim wszystkich innych dziewięciu (...) nie ma już księdza Muchy, duch jego już gdzieś błędzi zdając niewiadomy rachunek; ta żalсна reszta, co się trzęsie w kącie, to sam nazbierany, skondensowany strach, który został”.

Ksiądz Mucha przeżył wojnę i zdołał jeszcze odnaleźć się na kartach książki Wańkowicza. Nie przyznał się nigdy do zabicia własnego konia. Do końca życia zachował żal do autora za przedstawioną przezeń wizję odejścia z oddziału.

W 1960 r. inny reporter*) odnalazł w odległej, prowincjonalnej parafii księdza Muchę. Na plebanii powitał go niewysoki, łysawy człowiek w sutannie. Nie osiągnął jeszcze sześćdziesiątki, nie wyglądał na znacznie starszego, zmęczonego już życiem. Kiedy rozmowa zeszała na hubalowe czasy, wystarczyło mu jednak dość energii, aby z pasją bronić swojej wersji tamtych wydarzeń:

„... Wańkowicz pisze, że zastrzeliłem konia! Może to brzmi literacko. Dowcipnie. Ale to nieprawda. Koń został ranny przez Niemców. Potknął się. Padł. Biegłem po śniegu i wzywałem pomocy. Tereska zrobiła mi miejsce na siodle dopóki nie dali drugiego konia. Wańkowicz zrobił ze mnie wariata. Bałem się. Pewnie, że się bałam. Czy ja jeden? Można odgrywać bohatera bez lęku zbierając wiadomości o wojnie, trudniej być takim w pierwszej linii walki. Tak, po tamtej szarzy, pod Mniowem była ze mną kłapa. To prawda. Ale wszyscy byliśmy wyczerpani, głodni. Odżywialiśmy się... śniegiem. Dostałem wysokiej gorączki, zacząłem majaczyć. Tak, musiałem wtedy odejść. Ale w 1943 roku znowu poszedłem w las, ja - „wariat”, ja - „sam nazbierany skondensowany strach”!

Jakże trudno musiało przychodzić księdzu Musze nosić na swych barkach ciężar pokory, tak zalecanej przez Kościół i „Błogosławieni cisi i pokornego serca...” Ile razy powtarzał napotykanym ludziom, jak wówczas temu reporterowi: „Ale major ocenił mój udział w oddziale. - Jak przeżyjemy - mawiał - dostaniesz Virtuti, bo nie lada odwagę mieć trzeba, żeby przystać do takich jak my. I zabiorę cię z sobą do Nicei na zawody hipiczne. Dobrze nauczyłeś się skakać, katabasie!”

Czy brzmiała w tych słowach tylko duma? A może... były one wypowiedane także dla samouspokojenia? Możliwe, że miały zagłuszyć myśl, że pisarz... jednak miał trochę racji?

Zostawmy te rozważania. Prawdy obiektywnej już się nie ustalili, zaś prawdę subiektywną zabrał ksiądz Mucha ze sobą do grobu. Natomiast możliwy jest chyba do wyjaśnienia inny mit, który przylgnął do postaci Muchy. On sam nigdy nie zabrał na ten temat głosu - może uważał za niestosowne poświęcać zbyt wiele uwagi własnej osobie?

Do literatury przeszedł w tym względzie jako skrzyżowanie wolterewskiego prostaczka ze świętym Franciszkiem z Assyżu - „z duszą otwartą na dobro, nic nie wiedzący o świecie i sprawach jego”. Biedny filipin, biedny natchniony naiwniak. Bóg nie pozwolił mu jednak złożyć życia na ołtarzu Ojczyzny, bo niezależnie od duchowych walorów nie stronił przecież zacy z księżulo od kieliszka, a i w karciecia - Panie uchwaj - od czasu do czasu rznął z wojakami. I tak, dzięki panawańkowiczowej wizji, powstał piękny, żywymi barwami namalowany portrecik. Tyle, że spod farb nie zawsze widać na nim żywego człowieka.

Nigdy nie miałem pełnego przekonania do księdza Muchy z „Hubalczyków”. Był zbyt „literacko wyważony” i pełen wyrafinowanych „smaczków”. To moje uczucie potęgowało się, gdy krąg, który zatoczyłem sobie wokół jego postaci, zaczął się zacieśniać.

Właściwie dawni Hubalczycy wiedzieli o nim bardzo niewiele. Z grona moich informatorów najdłużej znał księdza Muchę leśniczy Żulikowski z Bielaw (który zresztą - jak już kiedyś pisałem - zaaranżował pierwsze spotkanie księdza a Hubalą), bo jeszcze przed wojny, ale była to znajomość oparta raczej na przygodnych spotkaniach przy biesiadnym stole, a nie - wynikająca ze stałych kontaktów na płaszczyźnie zawodowej czy przyjacielskiej. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę fakt bardzo znamieny: wbrew temu, co pisze autor „Hubalczyków”, w czasach swego pobytu w oddziale ksiądz Mucha wcale nie był młodzieniaszkiem. Dobiegał czterdziestki, był tylko o cztery lata młodszy od Hubała, a przeciętnie przynajmniej o czternaście lat starszy od większości żołnierzy. I jeśli już nawet nie „sukienka duchowna”, to bariera wieku oddzielała go w jakimś sensie od reszty oddziału. Z „katabasa” można się było wojskowym zwyczajem podśmiewać, trudniej przychodziło się z nim pobratać. Może dlatego zapisał się żywiej w pamięci swych towarzyszy broni tylko wówczas, gdy w dwóch wspomnianych już, niezbyt chlubnych dla niego, przypadkach „wyskoczył” ponad przeciętność swojego życia codziennego. Tym łatwiej było później pozostałym przy życiu Hubalczykom uwierzyć w wańkowiczowską wersję księdza Muchy.

W sprawie księdza Muchy pisałem między innymi do dwóch księży, którzy swego czasu pozostawali z nim w bliskich kontaktach. Obydwa listy pozostały bez odpowiedzi. Jest to jednak dość zrozumiałe. Kler troskliwie przestrzega zasady „nihil nisi bene” - szczególnie, gdy chodzi o ludzi w sutannach, a ja w dodatku zbyt wiele stawiałem pytań, dotyczących także pozaklasztornej życia ich konfratry. A i klasztorne sprawy księdza Muchy musiały się przedstawiać nie najlepiej, skoro - znowu inaczej niż u Wańkowicza - przyszły kapelan Hubalczyków wcale się nie wykradał chyłkiem z klasztoru do Hubała, ale, jak twierdzi leśniczy Żulikowski, księża rozstali się z nim całkiem jawnie i jeśli nie z radością, to w każdym razie z uczuciem ulgi.

Najwięcej wiadomości o „prywatnym” życiu księdza Muchy dało mi dopiero przypadkowe spotkanie z jedną z jego znajomych, panią Matracką z Radomia, która w 1939 r. była nauczycielką we wsi Ponikła i miała kontakty z Hubalczykami. Zapytałem ją między innymi, czy nie znała przypadkiem księdza Muchy. „Jak to, czy go nie znałam? - zdziwiła się. - Ależ znałam go doskonale, jak mało kto. Przez kilka lat, jeszcze przed wybuchem wojny, a także w pierwszych miesiącach okupacji, był w mojej szkole katechetą. Byliśmy w bardzo serdecznych, koleżeńskich stosunkach. Przychodził trzy razy w tygodniu z pobliskiego klasztoru księży filipinów w Poświętnem”.

Jeśli luki we wspomnieniu byłej nauczycielki z Ponikły uzupełni się odpryskami wspomnień ludzi, którzy kontaktowali się z nim w oddziale, powstanie pewna konstrukcja, dzięki której można spróbować odpowiedzieć na pytanie: kim był i jaki właściwie był ksiądz Mucha?

W klasztorze w Poświętnem zamieszkał ksiądz Ludwik Mucha pod koniec lat trzydziestych. Urodził się na wsi kieleckiej, w biednej rodzinie chłopskiej. W szerokim świecie raczej nie bywał, w seminarium duchownym specjalnymi talentami się nie wyróżniał. Nie czuł też szczególnego powołania do stanu kapłańskiego, niektórzy twierdzą, że w ogóle poszedł do seminarium bez powołania, przymuszony do tego przez rodzinę starym argumentem, że „kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”. Ówczesny przełożony zgromadzenia, ks. Witek, polecił go na stanowisko katechety w szkole w Ponikle.

Marta Alberska (tak brzmiało panięskie nazwisko p. Matrackiej) przybyła do Ponikły w 1937 r. Młoda nauczycielka początkowo czuła się źle na tym odludziu. Tym bardziej, że była tutaj sama, poza oczywiście księdzem Muchą. Dużo starszy od niej „kolega” nie grzeszył wyszukаныmi manierami, posiadał za to wiele wrodzonego taktu, był z natury uprzejmy i uczynny. Poza tym podobały się Marii jego nieszablonowe poglądy na sprawy świata doczesnego i pozaziemskiego. Miał przy tym sporo fantazji. Między dwojgiem ludzi ustaliły się solidne, koleżeńskie odniesienia.

Ale to nie był jeszcze autentyczny ksiądz Mucha. Jeszcze się nie „zdekonspirował”, nie zdradził przed koleżanką ze swą starannie, przed nią okrywaną słabością. Ksiądz Mucha... pił.

Było to dla Marii Alberskiej wielkie zaskoczenie, gdy przypadkowo natknęła się na księdza, który przed lekcją, zaszyty w jakimś kącie, szybko wypróżniał wydobytą z kieszeni płaszczka „setkową” buteleczkę wódki. Ksiądz zmieszał się ogromnie, ale nauczycielka potrafiła wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Powiedziała lekkim tonem: „Klecho wstrętny, przecież nie można tak - na czczo”. Ksiądz uśmiechnął się i również żartobliwym tonem odparował: „Zgoda, ale że na śniadanie spożywam z zasady tylko płyny, proszę o jedno surowo jajeczko”. Od tej pory nie było już między nimi tajemnic i niedomówień.

Dziwny to był człowiek, ten ksiądz Mucha. Ludzie lubili go, czuli, że jest jednym z nich. Pochodził z chłopów i chłopem pozostał. Nie cierpiał pruderii, nigdy nie przybierał świątobliwych póz. Co mu jeszcze większą zjednywało sympatie, to fakt, że nie wierzył... w piekło. Był człowiekiem dobrym z natury i wierzył w dobro.

Maria Alberska często była zapraszana na przyjęcia do leśniczówki Żulikowskich na Bielawach, lub do leśniczówki Wróblewskich w Dębie. Zwykle na takie przyjęcia „urywał się” z klasztoru także ksiądz Mucha. Z nastaniem zmroku furtę klasztorną zamykano na głucho, ale on miał swoje sposoby wydostania się na zewnątrz. Któregoś razu rozochoceni

biesiadnicy zaczęli przygadywać księdzu, że pijąc tyle - a pito owego wieczoru ostro - nie zdoła już odmówić brewiarza. „Co tam brewiarz - zażartował Mucha - jedyne, co mnie niepokoi, to myśl, czy ksiądz przełożony nie odkrył sznura, który sobie z okna celi spuściłem, żeby było którądy wracać”.

A więc birbant i letkiewicz? Jak to jednak pogodzić z faktem, że już w pierwszych miesiącach okupacji - gdy wrócił z parafii Białaczewo, gdzie zeskoczyła go inwazja niemiecka - zaczął zbierać pozostawioną przez polskie wojska broń i magazynować w klasztornych podziemiach? Że, aby pomóc najbiedniejszym, podkradał żywność z bogato zaopatrzonej spiżarni filipinów? Że zdecydował się przystać do Hubalczyków?

Pewnego razu, było to już po świętach Bożego Narodzenia 1939 r., zjawił się w szkole w Ponikle. Przyszedł się pożegnać. Oświadczył, że wstępuje do partyzantki. „Idę do tych ludzi, w las, bo czuję, że to mój żywioł”.

Wydaje się, że i decyzja o wstąpieniu do Oddziału Wydzielonego i przytoczona wyżej wypowiedź księdza Muchy są bardzo istotne dla właściwego ocenienia jego postaci. Szedł, żeby służyć ojczyźnie, ale zarazem uciekał od życia, do którego nie potrafił się przystosować. Sądzę, że jego skłonność do traktowania życia niezbyt serio, pozorne „letkiewiczostwo” i nawet słabość do alkoholu były nie tyle przyrodzonymi cechami księdza, co wynikały z nabrzmiałego w owym okresie uczucia buntu przeciwko życiu, na jakie się kiedyś zdecydował. Myślę, że każdego księdza nachodzą takie chwile buntu. I każdy reaguje na nie w inny sposób. Ksiądz Mucha nie potrafił się zdobyć na wrzucenie sutanny - zbyt głęboko tkwił w tradycji religijnej wyniesionej z domu - nie mógł jednak również stłumić w sobie uczucia protestu. Wybierał więc drogi pośrednie. I kiedy nadarzyła się owa najwłaściwsza, jego zdaniem, droga pośrednia - poszedł do lasu. Trzeba przy tym jeszcze raz podkreślić, że wcale to nie podważa pobudek patriotycznych, jakimi się ksiądz Mucha kierował. Po prostu do oddziału Hubala szedł równocześnie dwiema drogami.

O samym przybyciu księdza do oddziału pisałem już w reportażu - „Pamiętna noc”. Spotkanie z Hubalem odbyło się w leśniczówce na Bielawach, położonej niespełna dwa kilometry od Poświętnego. Funkcję kapelana utworzono w oddziale w pierwszych dniach stycznia 1940 r. Ksiądz Mucha miał odtąd przebywać wśród Hubalczyków równo przez trzy miesiące. Przez większą część tego czasu obecność kapelana nie dawała o sobie znać w oddziale. Może tylko fakt odprawienia mszy polowej w Gałkach Krzczonowskich wzbudził wśród żołnierzy większe zainteresowanie jego osobą. Hubal trzymał księdza przy sobie, grywał z nim w brydża, nazywał żartobliwie „Pyrką”. Dopiero w bitwie pod Huciskiem, a następnie pod Szałasami, rzuciło się w oczy wielu żołnierzom, że ksiądz do najodważniejszych nie należy. Ratował się przed uczuciem strachu znanym zresztą

żołnierskim sposobem, zaglądając - może tylko częściej niż inni - do butelki. Czy to jednak takie dziwne? Ostatecznie prochu nigdy przedtem nie wachał. A w swym strachu poza dopuszczalne honorem granice jednak się nie posunął. Lecz ludzie młodzi szybko stawiają zbyt pochopne oceny.

Potem przyszło przebijanie się z okrażenia i sławetna szarża przez szosę Odrowąż - Samsonów (2-3 kwietnia 1940 r.). Ubito podczas niej dwa konie; tego, na którym jechał Romuald Rodziewicz, i tego, na którym - ksiądz Mucha. Koń kapelana otrzymał postrzał w głowę, a że już do Muchy przyłgnęło wcześniej miano tchórzliwego, najbardziej „logiczne” było, że zamiast w Niemców, ksiądz kule ze swego visa pakował w łeb własnemu koniowi. Mógł też ktoś, w ogólnym zdenerwowaniu po szarży, wymyślić taką historyjkę dla rozładowania napiętej sytuacji. A że historyjka była efektowno, szybko i na trwałe obrosła legendą.

W kilka dni później chorego księdza pozostawiono w gajówce Zabrody pod Olesznem u Stanisława Włodarskiego, a resztką konnego oddziału z Hubalem na czele pociągnęła wzdłuż Pilicy prosto na północ, znowu w pobliże klasztoru w Poświętnem, gdzie miał się rozegrać ostatni akt życia Majora.

Odtąd, aż do końca wojny, żaden z Hubalczyków nie natknął się na ślad księdza Muchy.

On tymczasem przewieziony do majątku Lachowskich w Pobrzy, dochodził tam przez kilka tygodni do zdrowia, a następnie, dowiedziawszy się o rozbiciu oddziału, wrócił w rodzinne strony i tam przez trzy lata ukrywał się.

Ale w połowie 1943 r. ksiądz Mucha znowu poszedł do partyzantki. Działał najpierw w oddziałach krakowskiego „Żelbetu”, w rejonie Ojcowa, a w połowie września roku 1944 w słynnym batalionie „Skała”, wywodzącym się z oddziałów krakowskiego Kedywu. Musiał być bardzo emocjonalnie związany z czasami hubalowej partyzantki, skoro używał niezbyt przecież efektownego pseudonimu - „Pyrka”.

W 1960 r. odwiedziłem w Krakowie dowódcę 2 kompanii batalionu „Skała”, kapitana „Powolnego” - Ryszarda Nuszkiewicza. Kiedy zapytałem go o księdza Muchę, roześmiał się: „A któż by go nie znał! Panie, jak ten człowiek potrafił się bać!” A potem spoważniał i dodał: „Ale cenilem go zawsze bardzo. Bać się i przewycięzać strach, to świadczy o charakterze. To był bardzo zacny Polak i bardzo twardy człowiek. Był „Zawzięty” na siebie, tak jak tylko potrafili być zawzięci chłopcy”.

Z pierwszą czołówką radziecką ksiądz Mucha przedostał się do Krakowa. Na krótko zaczepił się przy jakichś krakowskich księżach. Ale odwykł już od spokojnego, statecznego życia. A może nadal gonił za „swoim żywiołem”, bo wkrótce, jako jeden z pierwszych, wyruszył na Ziemię Zachodnie, objął parafię w Łądku Zdroju. I tutaj zresztą nie mógł się

dopasować do wymaganych od niego powinności. Podobno miał zatarg z kościelnymi władzami zwierzchnimi na temat swego „czasowego” pobytu na tych terenach.

Grób księdza Muchy znajduje się na cmentarzu we Wrocławiu. Obok imienia i nazwiska kazał sobie na nagrobku wyryć napis, że należy do grona żołnierzy majora Hubala.

Rozstańmy się jednak z księdzem Muchą, gdy jeszcze jest wśród żywych. Ostatnie lata spędził w niewielkiej wsi Drzewce koło Wschowy w Poznańskim, na plebanii stojącej w cieniu pięknego czternastowiecznego kościółka pod wezwaniem błogosławionego Szymona z Lipnicy. Pod koniec życia pogodził się ze swoim losom. Był już stary, zmęczony. Nikt tutaj, we wsi, ani by pomyślał, że kiedyś, bardzo dawno temu, miał chwile zwątpień i buntów, że próbował leczyć je także alkoholem. Tutaj znano go jako abstynenta.

Jedyny wywiad, jakiego w życiu udzielił, kończy się tak: ... „Starych druhów z wdzięcznością wspominam, za pomordowanych w Gałkach i Huciskach pacierze codziennie odmawiam”.

Ot, życie jednego a Polaków...

*) Stanisław Wilkowski – „Śladem Hubalczyka”, WTK Nr 29 z 17.VII.1960 r.

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 4, s. 1,6-7.